

ROMANŚ I POWIEŚĆ

Rok XIX

Warszawa, dnia 13 Sierpnia 1927 roku

Nr. 33

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

31)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

— I mówią, że rosjanie nie mają zmysłu do handlu! — zauważył jakiś cierpki głos.

Kornew nie odpowiedział człowiekowi, który wygłosił to zdanie. Był to kapitan, o typie wybitnie mongolskim; opadające wąsy podkreślały usta okrutne, inteligentne i łotrowskie.

— Kto to jest? — zapytał Jerzy, zaskoczony złym humorem przyjaciela.

— Stalin z zaopatrywania. Znieść go nie mogę. Utrzymuje stosunki z wszystkimi rewolucjonistami.

Powracając do ironicznego tonu, który cechował go, Kornew zawołał:

— Napewno nie znasz ostatniego wiersza o Wojekowie. Posłuchaj...

Lecz w tej chwili wszedł młody człowiek, którego wszyscy powitali z przyjaznym szacunkiem. Rysy miał regularne, twarz pobladła od hulank. Bluza podciągnięta adjutanckimi sznurami ze skówkami i wysokie, miękkie buty, nadawały jego postaci pańską wytworność. Był to bliski krewny cara, przezwany dla swej urody księciem Hipolitem.

Widząc go, Jerzy drgnął. Książę był jednym z pięciu zaprzysiężonych, którzy mieli szesnastego grudnia oczekiwać Rasputina w pałacu Jussupowa. Lecz młody książę nie myślał, widocznie, o tym wieczorze. Rzekł wesoło:

— Oto ostatnie nowiny z Piotrogradu. Tańczy się tam coraz więcej i wszystkie panie są zwarzowane na punkcie książki hiszpańskiej z średniowiecza o inscenizacji, która podobno dokona przewrotu w świecie teatralnym.

Urwał i zwrócił się do Kornewa:

— Mój kochany, niech pan zechce zatelefonować do dworskiego kwatermistrza, lub do samego Dołgorukiego, i niech mu pan powie, że jestem tu w przejeździe. Niech mi zatrzymają miejsce przy stole jego cesarskiej mości.

— Gdy będzie pan telefonować — rzekł Stalin — to niech pan przypomni, że od trzech dni czekam na zaproszenie.

— Nie zależałoby mi na tem — odpowiedział zimno Kornew, — gdybym posiadał pańskie zapatrywania.

Skośne oczy Stalina rzuciły krótki błysk:

— Dlaczego? — rzekł — Kocham cesarza, jego otoczenie jest mi nienawistne.

Słowa te skierowały rozmowę ku polityce. Słyszając wiecznie te same skargi, śmiertelna nuda ogarnęła Dolina. Spojrzał na zegarek. Pomyślał, że, jeśli teraz wróci do hotelu, ażeby sprawdzić po raz ostatni,

czy ubranie jest w porządku, to może uda mu się zabić zbyt długie minuty, które dzieliły go od widzenia się z carem.

* * *

O naznaczonej godzinie, przecinając kordon Ochrony, wszedł Dolin do pałacu gubernatora, który zajmował cesarz, wraz ze świtą. Kozacy z przybocznej eskorty cara pilnowali podwórza. Jerzy odpowiedział na ich ukłon z powagą, jakiej oddawna nie wnosił do ruchów wojskowych.

Dolin szedł za oficerem służbowym. Miał twarz zeszywniałą ze wzruszenia, które starał się zamaskować wszelkimi siłami. Zatrzymali się na pierwszym piętrze w białej sali. Stał w niej tylko fortepian i fotele obite żółtym aksamitem.

— Sala przyjęć Jego Cesarskiej Mości — rzekł oficer. — Jest jeszcze pusta, ale za chwilę zapełni się.

Następnie, wskazując drzwi, przed którymi stała warta:

— A to jest pokój cesarza. Tam sypia razem z carewiczem. Tam też pracuje. Odchodzę.

Czując, że ręka Jerzego jest bardzo zimna, dodał:

— Nie trzeba być tak wzruszonym, cesarz jest ujmująco miły.

— Jerzy został sam. Machinalnie obciągnął bluzę i przetaił guziki. W sąsiednim pokoju zadzwonił zegar.

„Zawezwie mnie“, pomyślał Dolin.

I serce zabiło mocno, sprawiając ból.

Mijały minuty, a nikt nie zjawiał się po niego. Wreszcie ukazał się stary mężczyzna o przykrym wyrazie twarzy. Był to Katow, lokaj cara.

— Musi pan cierpliwie poczekać — rzekł — Jego cesarska mość rozmawia z Ojcem Sokołowem.

Dolin poznał tego duchownego w Piotrogradzie. Przypomniał sobie rzeczy, jakie o nim słyszał, rad, że znalazł środek odprowadzający zdenerwowanie. Mówiono, że jest żydem z pochodzenia, lecz mu to przebaczano, gdyż był odważny, energiczny i bezwzględnie uczciwy. Został mianowany w Stawce wielkim jałmużnikiem, i rządził wszystkimi duchownymi armji i floty.

Gdy Ojciec Sokołow wyszedł z pokoju cara, Jerzy poznał natychmiast asyryjski profil, oczy o kształcie migdałów, oliwkową cerę. Wielki jałmużnik przytrzymywał nerwowym ruchem krzyż z masywnego złota, zawieszony na wstędze Zakonu Świętego Jerzego.

Ujrawszy młodego człowieka, podszedł do niego gwałtownie i po sposobie, jakim ujął go za ręce, Jerzy zrozumiał niecierpliwość, z jaką pragnął się zwierzyć.

— Zwycięstwo, zwycięstwo! — rzekł duchowny z uniesieniem. — Przynoszę cudowną nowinę. Lecz nie chcę mówić tutaj. Przyjdź do mnie.

Uczył krok do wyjścia. Ale niezdolny powstrzymać się dłużej, wrócił i pochylony nad uchem Dolina, szeptał drgającym głosem:

— Nie, nie mogę... To zbyt piękne. Posłuchaj: mówiłem z carem o Rasputinie. Powiedziałem, że popieranie tego oszusta jest skandalem, świętokradztwem. Objaśniłem to z punktu widzenia Kościoła.... Zebrałem całą moją odwagę. Byłem stanowczy i nawet zuchwały. Bóg mi dopomógł. Car uznał, że miałem rację. Dziękował mi, pocałował. Widzisz, mój drogi Jerzy Iwanowiczu, jestem bardzo wzruszony.

Olbrzymia nadzieja uniosła Jerzego. Byłoby to możliwe, że car nareszcie rozumiał? Że ślepy przewidział. Rasputin wygnany, Liza oswobodzona, a życie uwolnione od złych czarów, życie przejrzyste?

— Przyjdź do mnie po śniadaniu, — rzekł Ojciec Sokołow. — Wszystko ci opowiem. I jeżeli znajdziesz chwilę czasu, wstąp do naszej polowej cerkwi i zapal świecę przed naszą cudowną ikoną. To wielki dzień dla nas. Sam car będzie go pamiętać.

W tej chwili wszedł Katow, dał znak Jerzemu, który stracił świadomość swojego istnienia.

Szedł za starcem, jak automat... Zamknęły się za nim cicho drzwi.... Czekał tam car, wsparty o swoje biurko.

Ciało Jerzego skurczyło się, jakgdyby objęte nieprzewyciężonym mrozem. Pierś wydała mu się skamieniałą na zawsze, a ręce przywiązane do boków. Wobec samego faktu obecności władcy, w proch obracały się wszelkie żale, wszelkie wątpliwości i wszelkie obawy.

O kilka kroków od niego stał Mikołaj II-gi, spadkobierca carów, którzy wykuli ziemię rosyjską.

Od wieków służyli przodkowie Jerzego tej ubóstwianej rodzinie, obdarzonej mocą i przepychem. Dolin czuł w tym pokoju ich obecność; niewidzialni a czynni nakazywali mu cześć i miłość. Wszzechwładność tego pomazanego człowieka upoiła Jerzego, jak stary likier. Przedmioty stały się miękkie, linje zaczęły falować, tylko on trwał zeszywniały, niby nieruchoma oś ginącego świata.

Cesarz pochylił nieco głowę, a następnie szybkim i mechanicznym ruchem pogładził kilkakrotnie prawy wąs.

Było w tym geście tyle niezręczności i bezradności, że pomimo swojej wielkiej karności, Jerzy zadrżał. Zdawało mu się, że car sam zrzeka się korony. Ten odruch niweczył raz na zawsze cudowny blask. Legenda o chwale rozpadała się w chwili, gdy nerwowe palce muskały blond wąsy. Teraz, cesarz był dla Dolina tylko nieśmiałym pułkownikiem, który nie umiał nawiązać rozmowy i Jerzy przyglądał się swojemu władcy z bolesnym uczuciem wyższości.

Jak wszyscy oficerowie z jego świty, nosił Mikołaj II-gi bluzę khaki, ściągniętą powyżej bioder skórzanym pasem, niebieskie bufiaste spodnie i wysokie, rosyjskie buty. Order Świętego Jerzego był przypięty do bluzy. Czas, zmartwienia i prawdopodobnie trujące narkotyki, dawane mu w tajemnicy, sprawiły, że cerę miał ziemistą, policzki obwisłe, a pod oczami ciężkie, napuchnięte worki.

Lecz car podniósł spojrzenie na Dolina i łagodna zwiędła twarz rozjaśniła się nagle. W głębi nie-

bieskich oczu spoczywała dziecięca świeżość, niepojęta i niepokojąca czystość. Jak mogła przetrwać po tylu latach przykrych rządów, po tylu rozczarowaniach, buntach, porażkach? Czy mogły takie oczy osądzać ludzi, przenikać wydarzenia?

Myśli Jerzego bieły w przyspieszonym tempie. Szeregi przeróżnych obrazów wypełniały każdy ułamek sekundy. Wyobrazził sobie spojrzenie Rasputina — ten żyjący świder—wbite w oczy cara, i zadrżał. A jednak, przypatrując się dokładniej spojrzeniu cesarza, przekonał się, że nie było tylko słabe lecz przede wszystkim nieobecne. Mimo blasku, brakowało mu ognia i ciepła. Oczy upiększały niezdecydowane usta, krótką brodę, ociążały powieki, lecz nie odsłaniały tego, co kryła ta maska słabości. Jerzego ogarnęło uczucie niewzruszonej pewności, że nigdy nie zrozumie cara, i że nikt go nie rozumiał.

Z nerwowego napięcia zrodziła się myśl szalona: czy wogóle istniał ten człowiek, tak nikły, tak obojętny, ten kawał złotego szylkretu o świetlanym spojrzeniu, które zdawało się nie widzieć? Czyż wszystko w Cesarstwie nie zdawało się wskazywać na to, że cesarz był tylko formą? Jerzego ogarnęła chorobliwa pokusa, ażeby dotknąć cesarza i przekonać się czy milcząca zjawia nie rozwieje się przy kontakcie z człowiekiem.

Lecz uśmiech, pełen bolesnego wdzięku, odeknął usta Mikołaja II-go.

— Przynosisz mi list od jej cesarskiej mości? Dziękuję. Dzisiaj wieczorem powierzę ci odpowiedź.

— Głos ten poruszył Dolina. Prostny i melodyjny, pełen niewypowiedzianego uroku, wydłużał każdą sylabę, łagodził ją i nadawał dziwne i rzadkie brzmienie muzyczne. A jednak, było w nim to samo, co w spojrzeniu. Brakowało mu tych fal jasnych, ciepłych, harmonijnych, które wzruszają i zniewalają. Głos był daleki i mimo wdzięku, lodowaty. Przemawiał przez niego jakiś inny głos, który tłumiał drgania, porywy i skargi, a w którym Dolin poznał głos przeznaczenia. Car poddawał mu się zgóry, car nieustraszony wielbiciel zrzędzeń losu.

W cieniu tych niewzruszonych skrzydeł, car wydał się Jerzemu wielkim; lecz trwało to jedno oka mgnienie. Ręce młodego człowieka drżały nieco, gdy wręczał cesarzowi list cesarzowej. Panujący wziął go i tylko tym razem dostrzegł Dolin coś ludzkiego, coś braterskiego w carze. Istotna radość błysnęła w oczach cesarza. Ale natychmiast rysy zastygły w miękkim rysunku, spojrzenie straciło blask i jakby w obawie ukazania osobistych przeżyć, car opuścił opuchnięte powieki.

Powracał do zamkniętego królestwa, oddzielonego od reszty ludzi zasłoną, którą nie tylko on sam zapuszczał.

Zapanowała cisza. Mikołaj II-gi przeciągał znowu wierzchem dłoni po prawym wąsie. Dolin czekał bez ruchu. Wreszcie, cesarz z wymuszonym uśmiechem i martwym głosem zadał pytanie, które należało do obowiązujących:

— Gdzie zostałeś ranny?

— W Galicji, Wasza Cesarska Mość.

— Do jakiego pułku należysz?

— Do trzeciego pułku konnej gwardji, Wasza Cesarska Mość.

Car ożywił się nieco.

— Ach! do trzeciego. Robiłem przegląd w zeszłym roku, w Rostowie. Przypominam sobie, że byłem bardzo zadowolony. Oddasz panom oficerom moje życzenia powodzenia.

(D. c. n.)

2) **Historja, aż zanadto prawdziwa**

Znalazłem się na środku olbrzymiej sypialni, skąpo oświetlonej, w głębi której stało wielkie łożo. W łożu tem tonęła w powodzi batystów i koronek urodziwa niewiasta. Mogła mieć lat najwyżej trzydzieści. Uśmiechnęła się na mój widok, lecz był to uśmiech raczej smutku.

Zbliżyłem się do chorej i począłem ją rozpytywać o symptomata choroby.

— Czuję się źle, doktorze — rzekła, a głos miała taki sam miły i pieszczotliwy, jaki przed godziną słyszałem w telefonie. — Czuję się bardzo źle. Nie wiem sama, co mi jest. Właściwie, nic mnie nie boli i nie potrafię panu doktorowi określić mego stanu.

Zbadałem niewiastę sumiennie. Płuca, serce, wątroba — wszystko było w zupełnym porządku. Ciało miała jędrne, doskonale rozwinięte. Dostrzegłem tylko w kilku miejscach na ciele jakieś sine pręgi, wyglądało to jednak jakby ślady uderzeń lub odciski palców, zresztą rzeczy czysto zewnętrzne. Przez dykrecję nie zapytałem jej o powód tych sińców, będąc pewnym w duszy, że są to ślady jakichś miłosnych uścisków.

— Nic pani nie jest — orzekłem wreszcie. — Chyba... nerwy — uśmiechnąłem się.

Posądzałem babę poprostu o histerję. Tymczasem ona zaczęła mi się żalić, że najgorzej czuje się w nocy, że sypiać nie może, że nawiedzają ją jakieś zmyry... Mieszka tu sama, tylko ze służącą, gdyż z mężem się rozeszła przed kilkoma laty. Kochał się w niej potem pewien oficer, lecz go odtrąciła. Zastrzelił się. To było rok temu. Od tego czasu czuje się bardzo źle nerwowo. Boi się samotności, lecz boi się również ludzi.

— Czy pan wierzy w duchy, doktorze — zapytała ni stąd ni zowąd.

Pozostawiłem to pytanie bez odpowiedzi, tłumacząc jej natomiast szeroko o konieczności zapanowania nad swemi nerwami. Zapisałem jej sporą dawkę bromu, no i chciałem odejść.

Baba w płacz. Siedziałem blisko przy niej na łożku, więc rzuciła mi się na szyję i zaczęła cicho chlipiąc, błagać na wszystko, abym nie odchodził, abym został przy niej tej nocy, abym ją ratował i t. d. i t. d.

— On dziś napewno przyjdzie, doktorze — wybuchnęła nagle — a ja nie mogę, już nie mogę, sił nie mam.....

— Co za „on“ — zapytałem — kto taki?

Popatrzyła na mnie nieprzytomnymi oczami.

— No on, mój odtrącony kochanek! Dziś właśnie rocznica jego śmierci. Przyjdzie z pewnością, będzie mi robił wyrzuty, a potem będzie się nademną znęcał. Oh, jak on się znęca, szarpie mnie, bije, gryzie.....

Odrzuciła kołdrę, wskazując mi owe sine ślady na ciele.

Nie ulegało wątpliwości, że mam do czynienia z bardzo silnym rozstrojem nerwowym. Postanowiłem tedy uleść prośbom chorej, bo mi się jej poprostu zrobiło żal. Przytem była naprawdę czarująca. Zostałem.

Usiadłem koło niej na łożku, w nogach. Uspokoiła się odrazu, patrząc na mnie z wdzięcznością.

Była widocznie bardzo spragniona snu i tej jakiejś życzliwej duszy przy sobie, gdyż odrazu usnęła. Ja siedziałem czas jakiś pograżony w zadumie, lecz że również byłem tego dnia bardzo znużony, anim się spostrzegł, jak oparty wygodnie o poduszkę zadrzemałem.

Nie wiem, jak długo ta moja drzemka trwała, gdy obudził mnie przeraźliwy krzyk chorej. Otworzyłem oczy i ujrzałem ją uniesioną na posłaniu, z oczami utkwionymi nieprzytomnie w odległy kąt pokoju. Wyrazu tych oczu nie zapomnę nigdy. Był w nich i strach, i zgroza, i obłęd, i ból, i najwyższe przerażenie.

Spojrzałem w stronę, gdzie miała utkwiony wzrok i przyznam się państwu, włosy mi się zjeżyły na głowie. Tam, w kącie pokoju stał młody oficer. Twarz miał zupełnie białą, przezroczystą. Stał nieruchomo i patrzył na nas oczami z zaświata. W pokoju paliła się przecież nocna lampa, stojąca na stoliku — i aczkolwiek panował półmrok, widać przecież było wszystko dokładnie. Nie namyślając się, sięgnąłem do kieszeni po rewolwer, i zanim zdołałem się opamiętać, wystrzeliłem, mierząc w sam środek postaci. Mara rozviała się wraz z dymem wystrzelonego ładunku.

— Co pan zrobił — jęknęła głucho niewiasta.

— A nic, chciałem tylko panią przekonać, że nikogo tam niema! — zaśmiałem się jakoś nieszczęrze. Bo przecież w gruncie rzeczy sam nie byłem pewien, czy uległem halucynacji, czy też istotnie widziałem postać wojskowego. Nadrabiałem jednak miłą i starałem się wszystko zbagatelizować, kładąc na karb rozigranych nerwów.

Udało mi się też wkrótce uspokoić zupełnie niewiastę, tak, że zasnęła ponownie. Ja zaś nie zmrużyłem już oczu do rana. Od czasu do czasu, wzrok mój mimowoli zwracał się w stronę, gdzie stał duch. Nie było tam nic, tylko zdawało mi się, że w tem miejscu, na podłodze, czernieje w mroku jakiś przedmiot. Dopiero w coraz jaśniejszem świetle budzącego się dnia zarysy tego przedmiotu nabierały większej wyrazistości, i wpatrując się weń uparcie, ujrzałem nagle coś, co znowu wstrząsnęło mną całym. Na miejscu, gdzie stała postać oficera — tkwiła para wysokich lakierowanych butów z ostrogami.

Zerwałem się jak szalony i skoczyłem sprawdzić namacalnie, czy znowu nie ulegam halucynacji. Lecz nie! Buty były zupełnie realne. Wziąłem jeden z nich do ręki i usłyszałem, jak zadzwoniła srebrna ostroga.

Pacjentka moja spała tymczasem snem słodkim, krzepiącym i mocnym. Postanowiłem jej nie budzić. Postanowiłem również zabrać ze sobą pozostawione przez ducha buty — aby nie upewniać chorej w przeświadczeniu, że duch odtrąconego kochanka naprawdę ją nawiedzał. Zawinałem więc buty w gazetę, którą znalazłem na stole w sąsiednim pokoju i cichutko, na palcach wyszedłem z mieszkania.....

— No i co sądzi pan, panie doktorze, — odezwał się pułkownik — że to naprawdę był duch?

— Nie wiem. To wiem tylko, że buty te do dziś dnia przechowuję u siebie.

— A cóż się stało z piękną panią — zapytała nasza towarzyszka podróży.

— Pacjentkę moją widywałem potem dość często. Od owej chwili przestała ją nawiedzać zgorzałość. Czuli się doskonale, miała dobry sen i jakoś wkrótce wyszła z żółtaczki. Leczenie o tych butach nigdy jej nie wspominałem ani słowa.

— Ładną nam doktor bajeczkę opowiedział — ozwał się z przekąsem literat.

IV

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu. Opowiadanie doktora pograżyło nas w zadumę nad niedocieczonymi zagadkami bytu, których żadna myśl ludzka nigdy nie zdoła przeświecić. Pociąg pędził coraz szybciej — a za oknami była czarna otchłań nocy, i szaruga, i deszcz, i zła wichura...

Wyrwał nas z tej zadumy dopiero miły głos mego vis à vis, uroczej blondynki. Zaczęła nam ona opowiadać historję, któraby się dała streścić w następujący sposób:

Prześladował ją swoją osobą na ulicy pewien nieznamy młodzieniec. Chodził za nią, śledził, wystawał przed jej domem, a gdy ją ujrzał wychodzącą, zbliżał się i usiłował nawiązać rozmowę. Ponieważ nie uznaje znajomości zawieranych na ulicy — nie zwracała nań najmniejszej uwagi. On jednak był cierpliwy i nie zrażając się okazywaną mu obojętnością, wciąż stawał na jej drodze.

Któregoś dnia pokazała go zdaleka swej przyjaciółce, opowiadając jej o zaczepkach. Okazało się, że przyjaciółka znała go. Miała z nim nawet coś na pieńku. Był to znanv szeroko uwodziciel, Don Juan i flirtiarz. Przyjaciółki postanowiły mu splatać figla, któryby go ośmieszył.

Nazajutrz więc, gdy nieznamy znów ją zaczepił na ulicy, udała pokonaną i..... zgodziła się na rendez-vous. Był w siódmym niebie. W parę dni potem, o umówionej, dość późnej zresztą godzinie wieczornej spotkali się w kawiarni, skąd go zaprosiła do..... siebie. Na schodach uprzedziła go, że mieszka w odnajętym pokoju, położonym w głębi mieszkania. Prosiła go wobec tego, by się zachowywał najciszej. W przedpokoju nie zapaliła światła i kazała mu zdjąć obuwie, by nie słyszał stapania. Uczynił to z pośpiechem. Był tak oszołomiony szybkością, z jaką dochodził do celu, że byłby uczynił wszystko, coby mu rozkazała.

Wzięła go wówczas za rękę i wprowadziła w skarpetkach, trzymającego w drugiem rękę swe trzewiki, do jasno oświetlonego pokoju, gdzie siedziało kilkanaście osób jego osobistych znajomych, przeważnie pań, zaproszonych uprzednio przez przyjaciółkę. Ani się opamiętał, jak znalazł się pośrodku pokoju, powitany głośną salwą śmiechu wszystkich swoich dawnych flirtów.... Żal było patrzeć, jak stał tak, czerwony ze wstydu i bezradny, trzymając w rękę swoje eleganckie półbuciki. Te półbuciki, które stały się grobem jego powodzenia u kobiet.

Śmieliśmy się wszyscy z tej historji, chociaż nie obyło się bez cierpkich uwag na temat kobiecej perfidji, okrucieństwa i złośliwości.

Opowiadanie kolejnego pułkownika zawiodło nas myślami na Dzikie Pola, gdzieś w okolicy Bałty, na szczerą wieś ukraińską, skąd rodem był nasz kawalerzysta. Działo się to w czasach jeszcze przedwojennych, kiedy nasz obecny pułkownik był prosto hreczkosiejem na swym rodzinnym zagonie. Miał bowiem majątek ziemski, gdzie siał, orał, zbierał i polował. Wieś to była głucha, od stacji kolei o 7 mil a od najbliższego sąsiada o 6 mil odległa. Inne to czasy były, inni ludzie, o duszach szerokich, jak te przestrze-

nie stepowe, na których żyli. I życie towarzyskie też w inne się układało formy, niż dzisiaj. Jak kto się wybrał w odwiedzin do sąsiada, to go nie wypuszczano wcześniej, jak po trzech dniach, albo i tygodniu.

Otóż siedzi sobie któregoś dnia nasz pułkownik z żoną i córkami przy obiedzie, aż tu słyszy dzwonki. Zima była sroga, mróz siarczysty, sanna dobra. Najwyraźniej ktoś zajeżdża pod ganek. Podchodzi tedy do okna, patrzy, to suną sanie w czwórkę szpaków zaprzężone, ale się przed gankiem nie zatrzymują, tylko objechawszy dookoła wielki gazon, z powrotem ku bramie się kierują, by za chwilę zniknąć zupełnie z oczu. Ledwie mógł dostrzedz, raczej po tych szpakach, że w saniach siedział w baranicy otulony sąsiad Zabawski z Hajnówki. Stary to był kawaler, dziwak i mizantrop. Majątek jego odległy był o jakie wiorst 40. Zabawski odwiedzał dom pułkownika tylko raz do roku.

Zachodził w głowę pułkownik, zachodziły w głowę jego żona i córki, co to za nowy kawał wymyślił stary dziwak. Ale gdy nadszedł wieczór, zapomniano o tem jego nagłym pojawieniu się i zniknięciu. Spożyto kolację i już miano się udawać na spoczynek, gdy nagle dały się słyszeć dzwonki przed gankiem. Wychodzi pułkownik na ganek, a tu z sani gramoli się skotniały na kość mimo kozuchów i baranic Zabawski.

— Cóż się to stało, sąsiedzie—pyta pułkownik.

— A no nic, sąsiedzie dobrodzieju, — powiada ten — przepraszam, że o tak późnej porze z wizytą, ale jam już raz tu był dzisiaj w południe. Musiałem tylko skoczyć do domu, bom coś zapomniał u siebie w Hajnówce.

— A cóż to sąsiad takiego ważnego zapomniał, żeby po takim mrozie 120 wiorst jednym dniem gonić!

— A buty, sąsiedzie dobrodzieju. — powiada Zabawski — zapomniałem. Kazałem durniowi lokajowi buty do sań pod baranicę włożyć, bo sam, że to mróz, w walonkach dla ciepła jechałem. Dopiero jakem podjeżdżał pod ganek, sięgam pod baranicę — a tu butów ani śladu. Zapomniał bestja włożyć. Jakże to miałem wobec pań bez butów się ukazać. Kazałem tedy zawrócić i wio do Hajnówki. A że jestem, jak to sąsiad wie, uparty i ponieważ jeszcze w żniwa na kalendarzu wyznaczyłem na dzień dzisiejszy wizytę u sąsiada, kazałem więc konie tylko przeprządz, wziąłem buty — i oto jestem.

V

Musiałem i ja z kolei wyciągnąć z lamusa wspomnień jakąś historyjkę a propos. Zapaliłem więc papierosa i czerpiąc w kłębach snującego się dymu natchnienie, zacząłem swe opowiadanie:

— Przygoda, o której tu zaraz państwo usłyszycie, wydarzyła mi się na Rivierze. Tak, moi państwo, na Rivierze, to znaczy, w okolicznościach sprzyjających dla wszelkiego rodzaju przygód. Swoisty charakter życia w tym wiecznie kwitnym ogrodzie Europy, wytwarza specjalną atmosferę, w której człowiek poddaje się z taką łatwością wszelkim impulsom płynącym z zewnątrz. Już sama natura wysiliła się tutaj, aby człowieka oderwać od codziennego biegu jego spraw, interesów i zainteresowań, tak jednakowo szarych i nużących na przestrzeni całego kontynentu. Rozumieją państwo, że morze, słońce południa, czarowne noce, przepojone zapachem róż i goździków i ta beztroska bytowania — wszystko to są rzeczy, niesłychanie podniecające wrażliwość i wyobraźnię ludzką.

Pod ich wpływem człowiek staje się bardziej uczuciowym i każda spotkana piękna kobieta wydaje mu się być zesłaną przez dobry los ...przygodą!

(Dok. nast.).